

Marek A. Cichocki

Dariusz Karłowicz

Jan Paweł II w krainie liliputów

Podobno Polacy nie słuchali Papieża. To ulubiony trop krytycznych inteligentów i stały temat publicystycznych jeremiad. Czy rzeczywiście? A co począć z dziesiątkami tysięcy ludzi mówiących na jego prośbę różaniec, co z tymi, którzy codziennie o 15.00 pamiętają o koronacie do Miłosierdzia Bożego, co z pielgrzymami do Łagiewnik i Częstochowy? Można ich pominąć? Czy skuteczność papieskiej lekcji nie ma wpływu na postawę tych, którzy wbrew naukowym prognozom chodzą w Polsce do kościoła, będąc zarazem, jak pokazują badania, solą polskiej demokracji, wolnego rynku i (co za nietakt!) rozwijającej się tkanki republikańskich obyczajów? Są wolni i odpowiedzialni – tak właśnie jak prosił o to „ich Papież” – swoją wolność realizują przez modlitwę, rodzinę, pracę, zaangażowanie obywatelskie, działalność w setkach inicjatyw charytatywnych, kulturalnych i społecznych i wreszcie – nie na końcu – przez aktywność polityczną. Otóż wydaje się jednak, że Polacy (w języku

krytycznych inteligentów znaczy to: „ludzie prości”, „lud”, nierzadko: „prostacy”) słuchali Papieża! A fakt, że jest to recepcja ułomna, nie powinien chyba tak dziwić wytrawnych ekspertów od psychologii społecznej, hermeneutyki, socjologii i komunikacji masowej. Bo czy potrafi ktoś – w świecie ludzkim – wskazać jakąś inną recepcję niż ułomna? Co tak rozczarowało surowych krytyków? Mieli Polacy papieskie nauki bez błędu pojąć, bez reszty w życie wcielić, potem się przeanielić i wniebowstąpić, z wszelkiego ziemskiego brudu oczyszczeni? Zostawmy bajki. Rozejrzyjmy się wokół, po polskich parafiach, po Europie, po świecie. Weźmy do rąk badania. Słuchali i kochali – na skalę naszych ludzkich, ułomnych możliwości próbując przyjąć nauczanie, wskazówki i rady. Trudno wątpić, że mimo wielu naprawdę poważnych problemów polskiej religijności, z odbiorem papieskiej nauki jest dużo lepiej niż się na ogół twierdzi. Za to z pewnością dużo gorzej mają się sprawy z jej

inteligentnymi krytykami! A już najgorzej z pomstującą na ciemny lud telewizyjno-publicystyczną profesurą.

Do dziś w ojczyźnie Jana Pawła II nie napisano ani jednej monografii mówiącej o filozofii Karola Wojtyły. Do dziś nie ma ani jednej solidnej książki o jego teologii! Najlepsze książki o pontyfikacie powstały za granicą! W Polskiej Akademii Nauk nie istnieje instytut, ani nawet zakład badający myśl i dzieło Jana Pawła II – mimo że istnieją tam najróżniejsze, czasem naprawdę bardzo ekscentryczne ośrodki. Na Uniwersytecie Warszawskim dziesięciolecie obchodził niedawno instytut *gender studies*. Myślicie Państwo, że istnieje na tym uniwersytecie instytut papieski czy choćby stałe seminarium, gdzie studenci czytają encykliki i książki, że powstają prace magisterskie, doktoraty, habilitacje? Otóż nie i nie zanoszą się nawet na to, że coś w tej sprawie się zmieni. Podobnie zresztą jak na innych uniwersytetach w Polsce. Kto chce postudiować myśl papieską, niech jedzie do Stanów Zjednoczonych, do Włoch lub do Niemiec. Polscy uczeni mają na jej temat niewiele do powiedzenia. Polski uniwersytet, z chlubnym wyjątkiem uczelni katolickich, właściwie nie zarejestrował zjawiska o nazwie Jan Paweł II (no chyba że zaszczycając Papieża swoim honorowym doktoratem!).

Rozumiemy, że można Jana Pawła II nie lubić. To jasne, że formacja, z jaką znaczna część polskiego świata akademickiego wyszła z czasów PRL-u, do takiej sympatii nie skłania. Ale nawet jeśli ktoś pisał doktorat z Marksa, a habilitację z Róży Luksemburg, to czy może prześlepić fakt, że Jan Paweł II to obok Kopernika najbardziej wpływowy myśliciel, jaki się kiedykolwiek urodził, że żaden Polak tak silnie nie odcisnął się na obliczu współczesnego świata i współczesnego Kościoła (nie mówiąc o Polsce) jak właśnie ten uczeń z Wadowic,

profesor z Lublina, biskup Krakowa? Niestety, może. To wrażenie przygnębiającego prowincjonalizmu narasta, jeśli uświadomić sobie, że Anglicy naprawdę nie czekają na to, co mamy do powiedzenia o Szekspirze i Rowlesie, Niemcy nie szukają u nas ekspertów od Habermasa i Goethego, a Włochów nie interesują nasze artykuły o Dantem czy Vattimo (nie bez racji zresztą, niestety, nie bez racji). Wszyscy za to sądzą, że mamy coś do powiedzenia o sprawach polskich. A my – inaczej niż średniowieczni wiktoryni, powiadający, że są karłami, którzy swój horyzont zyskali, wdrapując się na barki olbrzymów – przypominamy karłów, którzy choć spędzili życie w cieniu giganta, twierdzą, że w ich okolicy z pewnością żadnych olbrzymów nie ma. To szczególnie przykre, jeśli pamiętać, że ten olbrzym wyrósł spośród nas, i że zrozumieć go, znaczy również zrozumieć to, co w nas – po duchowej destylacji i uszlachetnieniu – wielkie, co godne pielęgnowania i wzmacniania, co zaś godne pogardy i odrzucenia. Ale te sprawy nas, uczonych liliputów, nie zajmują. Bo herbem polskich liliputów jest kserokopiarka. Lilipuci wolą cudze teksty o cudzych olbrzymach, o cudzych nadziejach i troskach. Obsługa kserokopiarki. Szyk bez wysiłku. Prowincjonalizm to nie jest zjawisko geograficzne, to choroba duszy, przekonanie – jak trafnie ujął to Kundera – że „życie jest gdzie indziej”.

Jednym z bardziej bezpośrednich efektów braku pogłębionej, własnej recepcji myśli Jana Pawła II jest, niestety, pasożytniczy stosunek do papieskiej spuścizny, jaki niekiedy możemy zauważyć w świecie polskiej polityki i jego medialnym oraz intelektualnym otoczeniu. Przykładów oczywiście nie brakuje, i to po żadnej ze stron. Przypomnijmy tylko te niedawne. Bezpośrednio po śmierci Jana Pawła II mogliśmy zobaczyć kilka nadzwyczaj spektakularnych aktów politycznego pojednania, które zresztą dziwnym trafem odbywały

Jan Paweł II w krainie liliputów

Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz

się zwykle w asyście telewizyjnych sekundantów. Zmarłego Papieża szybko uczyniono patronem tych gestów „ułatwionego” pojednania, przedstawiając je jako skutek bezpośredniego oddziaływania nauczania papieskiego. O tym, że gesty te były w większości dowodem spłykania tego nauczania i używania go w dość dowolny sposób do partykularnych i doraźnych celów, nie trzeba nikogo przekonywać. Nie inaczej, niestety, należy odnieść się do całej rzeszy intelektualistów i dziennikarzy, dla których autorytet Papieża stał się nagle koronnym argumentem w bieżącej walce politycznej. Osiągnięte ostatnio szczyty hipokryzji długo wydawały się niemożliwe do zdobycia.

Nic dziwnego, że w takiej atmosferze trudno jest mówić o miejscu Jana Pawła II w naszej historii, polityce i doświadczeniu zbiorowym. Rzecz oczywiście do łatwych nie należy. Jesteśmy tak bardzo z Jana Pawła, że zrozumieć go to tyle, co zrozumieć siebie i wielką część świata, w którym żyjemy, to namysł nad przedmiotem, który stał się integralną częścią badacza, namysł będący w ogromnym stopniu rodzajem introspekcji. Myśleć o Janie Pawle II, to w jakimś sensie poznawać samego siebie – co, jak wiadomo, nie jest ani proste, ani łatwe, co jednak bez wątpienia stanowi jedno z najważniejszych zadań filozofii.

Niezwykle obiecujące wydają nam się te badania, które prowadzą do zrozumienia natury polskiej polityczności. Chodzi zwłaszcza o metapolityczną i polityczną rolę Jana Pawła II w Polsce. Jego myślenie o kształcie Rzeczypospolitej, jej przeszłości i przyszłości, republikańskich tradycjach, o jej miejscu w świecie, fundamentach, architekturze i misji (tak, misji, której nie można zignorować!) – były nie tylko działalnością intelektualną, ale działalnością sprawczą. Jan Paweł II był naszym przywódcą duchowym i w jakimś sensie przywódcą politycznym – kimś w rodzaju

monarchy sprawującego szereg istotnych funkcji politycznych i metapolitycznych, które w ustroju mieszanym przypadają głowie państwa. Jako król i autorytet duchowy Papież kształtował oblicze Polski zarówno w wymiarze faktów, jak i przyjętych przez wspólnotę polityczną norm. Kto na chwilę nie odejdzie od kserokopiarki, pytając o znaczenie Jana Pawła dla polskiej solidarności, kto nie spróbuje zrozumieć związku krakowskich Łagiewnik i Stoczni Gdańskiej, kto nie przysłucha się wystąpieniu Papieża w polskim parlamencie i nie zada sobie trudu zrozumienia jego republikańskiego kontekstu – ten nie odgadnie, że fundamenty polskiej solidarnościowo-republikańskiej tożsamości trzeba zrozumieć, a nie konstruować! Wyłączmy na chwilę kopiarke, a okaże się, że w zasięgu ręki mamy polskie *federalist papers*, że w Gdańsku cumuje nasze *My Flower*, że mamy punkty odniesienia silniejsze niż absolutyzm i rewolucja. Gdybyśmy to pamiętali, to być może zamiast projektować dziwaczną preambułę do konstytucji, potrafilibyśmy sięgnąć do wystąpienia, które król, senat i wszystkie stany przyjęły w 1999 roku przez aklamację. Obyśmy zdolni byli pamiętać, że w dyskusji o Europie, społeczności międzynarodowej, rynku czy demokracji jest też ten wyjątkowy, bliski nam głos, który powinniśmy zrozumieć – i to nawet jeśli nie płakaliśmy po Papieżu.

Wraz z gronem znakomych autorów próbujemy podjąć się tego zadania w tym numerze „Teologii Politycznej”. Próbuje to robić coraz więcej różnych ośrodków, pobudzonych potężnym impulsem kwietniowego pożegnania. Czy ocknie się polski uniwersytet? Nie wiadomo. Minął pierwszy rok bezkrólewia. Być może skończoną już księgę łatwiej będzie nam czytać i rozumieć.

Marek A. Cichocki

Dariusz Karłowicz